

1

9 września

Tak naprawdę to nie jest miasteczko, lecz raczej rodzaj wioski rybackiej z jednopiętrowymi drewnianymi domami pomalowanymi na jaskrawe kolory, położonej nad morską zatoczką, która wcina się w głąb lądu, jakby była ujściem rzeki, ale rzeki tam nie ma, są tylko góry otaczające jezior słonej wody wciśkający się w pobrzeże meandrami, tylko góry i lodowiec na dnie doliny, który wpada do tego pozornego ujścia. To jeden z tych fiordów, które zimą wypełniają się mgłą, na północ od Tromsø i koła podbiegunowego, gdzie noc polarna trwa prawie trzy miesiące. Swoista wioska portowa, która rozrosła się w ostatnich latach dzięki głębokiemu kanałowi, na którego drugim brzegu zbudowano nowoczesny port handlowy z budynkami i dokami, falochronami i ogromnymi betonowymi zbiornikami. Jeden z pierwszych portów dla ropy naftowej z Arktyki, po portach rosyjskich na Syberii, na wzór Kirkenes

na granicy, ponieważ wraz z topnieniem lodu morskiego pojawiła się szansa na stałe otwarcie w lecie Przejścia Północno-Wschodniego.

Pak lodowy z growlerami, czyli odłamkami gór lodowych i dryfującymi krami, usytuowany pomiędzy lodem stałym a lodem morskim, teraz zamarza tylko przez kilka miesięcy w roku, nad Syberią, dalej na wschód. Niegdyś ten labirynt lodu więził wielkie statki ekspedycyjne, stopniowo przekształcając Ocean Arktyczny, w miarę postępu zimy, w przerażający pływający lodowiec, poprzecinany szczelinami, zaspami śnieżnymi, górami lodowymi i wybrzuszeniami kompresyjnymi wznoszącymi się jak góry. Ten labirynt lodu, który kiedyś dawał wytchnienie oceanicznym wodom, pozostawiał jedynie nadzieję na wytchnienie w postaci otwartej wody w lecie, ten potwór, który pochłonął tak wielu bohaterów, teraz zamarza tylko na kilka miesięcy w roku, nad Syberią, dalej na wschód. Odkrycie pola naftowego u wybrzeży wysp, które w pogodne dni widać na horyzoncie, jeszcze bardziej przyspieszyło bieg wydarzeń.

Wioska się rozrosła, podobnie jak linia brzegowa. Tam właśnie żółto-czerwony śmigłowiec ratowniczy pozostawił młodego rosyjskiego pracownika platformy, przypasanego do noszy i okrytego kocem termicznym po sam nos, oraz dwa ciała w dużych, czarnych workach zapinanych na zamek błyskawiczny niczym sprzęt kempingowy lub wędkarski, także na noszach – ciała nie nosi się na rękach, nawet jeśli jeden z dwóch worków jest tak naprawdę wypełniony jedynie fragmentami, których nie wystarczy, aby zrekonstruować ciało w całości niczym potwora Frankensteina, ponieważ między szczątkami niemal zupełnie zniszczonego mostku znaleziono jedynie tors mężczyzny, którego nogi, miednica i ramię oderwały się podczas upadku wału wiertniczego z wieży na dno, więc do

worka zebrano tylko głowę i tułów z brzuchem rozciętym jak u robaka, wypatroszonym poniżej żeber, z kręgami oderwanymi od miednicy, wystającymi niczym ogon z zakrwawionych strzępów.

W helikopterze młody człowiek, zanim stracił przytomność, pytał jeszcze o swoich kolegów, ale nikt nie odważył się mu odpowiedzieć. Nastąpiło coś, co w języku nafcjarzy nazywane jest z angielska *kick*, czyli erupcją. Skok ciśnienia. Wyciek gazu w obudowie wykonanej z połączonych ze sobą stalowych rur, które przebiły skorupę ziemską i wdarły się w jej głębiny niczym długi pszczeli rój, by wyssać miód naftowy. Ofiarami byli pracownicy, którzy trzy tysiące metrów wyżej, pod wieżą wiertniczą, montowali obudowę, podczas gdy wiertło nadal się zagłębiało. Naprężenia na końcu tej długiej stalowej „słomki” były nieprawdopodobne. W momencie erupcji obudowa dosłownie eksplodowała im w rękach. „Miałeś szczęście, Jurij” – powiedziano mu po prostu. Wygląda na to, że ma na imię Jurij, tak jest napisane po rosyjsku w legitymacji zawodowej, podano tam też jego grupę krwi i wiek: 24 lata. Stanowisko: brak. Robotnik. Mięso armatnie. Niewolnik arktycznej ropy. Wszędzie indziej, nawet w Afryce, w Angoli czy Nigerii, firmy europejskie i amerykańskie stosują drakońskie standardy bezpieczeństwa, których domagały się związki zawodowe. Tutaj Rosjanie, którzy dominują na rynku, powrócili do warunków wydobywania, do jakich przywykli na wschód od Uralu. Równie dobrze można by powiedzieć: *Germinal* – trudna i brutalna rzeczywistość górników.

Chłopak jest w fatalnym stanie. Prawy obojczyk ma zmiądzony, rozłupaną łopatkę, złamaną szczękę. Jego twarz jest zupełnie zdeformowana, nie do poznania. Kość ramienna złamana na kilka kawałków, połamane żebra zapadnięte. To jest

najbardziej niepokojące, bo pluje krwią, może ma uszkodzone płuca, przedziurawione lub naderwane przez kość, która przeszła je jak harpun. Na lądowisku przed szpitalem wynoszą go z helikoptera, na noszach, pod tlenem, a wokół wszyscy krzyczą. Lekarz pogotowia już przekazuje przejmującym go medykom wszystkie parametry życiowe, które udało mu się ustalić, a które za kilka minut przydadzą się na sali operacyjnej.

Lekarze szybko rozmawiają, rzucają terminami: uraz, krwiak podtwardówkowy, mówią o ciśnieniu krwi w czaszce i ryzyku krwotoku w płucach, dyskutują o tym, czy najpierw otworzyć tu czy tam. Aby uporać się z najpilniejszymi problemami, próbują uratować oko, a co do reszty... Co do reszty, zobaczy się. Bark, ramię, kość udowa lub biodrowa... Zobaczymy, zrobimy rentgen na sali operacyjnej, kiedy będzie już bezpieczny. Poświęcimy mu tyle czasu, ile będzie trzeba. Będziemy świętować, jeśli go uratujemy. Gwoździe, śruby, płytki i pręty... Ale najpierw trzeba jak najszybciej sprawdzić, które urazy grożą śmiercią, i załatać je w kolejności od najbardziej do najmniej pilnego, bo jeśli nie zdarzy się cud, Jurij umrze rano, nie doczekawszy swoich dwudziestych piątych urodzin. Lekarze o tym wiedzą. Wszyscy o tym wiedzą. Wystarczy zauważyć połączenie pośpiechu i skrupulatności w grupie, która otacza nosze, aby zrozumieć, że on umrze.

W mieście już się o tym mówi. Każdy słyszał syrenę, widział żółto-czerwony helikopter ratownictwa morskiego, który przylatywał i odlatywał. Wszyscy wiedzą, że zdarzył się wypadek, że były ofiary śmiertelne i co najmniej jedna osoba jest poważnie ranna. Mówi się, że jest w stanie krytycznym. Tej nocy niektórzy mówili, że obudzili się, poczuli jakby wstrząs, ale może to było tylko przecucie. W głębi fiordu, wysoko w górach, miało miejsce osunięcie się lodowca, a może

trzęsienie. Wszyscy już wiedzą, że to będzie długi dzień. A to dopiero pierwszy dzień.

Czasem nie trzeba wiele, wystarczy wypadek, ziarenko piasku zaburzające równowagę, by wszystko rozsypało się bez ostrzeżenia. Wystarczy jedna mała rzecz. Czas płynie już tak długo. Sekundy dodają się do sekund. Nie myśli się o tym. A potem nagle się okazuje, że jest jakby o jedną sekundę za dużo. Nie powoduje ona niczego, nie różni się od innych, jest tylko kolejnym ziarenkiem piasku, ale nagle, jak w klepsydrze, cała kupka piasku przesuwa się, przesypuje i zapada.

Tak następuje koniec świata.

2

10 września

Było to jakby kilka miast w jednym. Pierwotne miasteczko nie było większe od dużej wsi. Składało się z portu rybackiego z drewnianymi nabrzeżami, kolorowymi magazynami na palach i rzędami lin do suszenia dorsza i śledzia oraz ze starówki, z dwiema lub trzema ulicami domów, kościołem, szkołą podstawową i dawnym ratuszem przekształconym w ogrzewany dom kultury ze świetlicą, gdzie w długie zimowe miesiące odbywały się zajęcia z gimnastyki i tańca.

Supermarkety, szpital, trzypiętrowe budynki – a na nich loga firm z całego świata i anteny satelitarne, a w środku open space’y i biura coworkingowe – żółte maszyny budowlane z równie żółtymi światłami ostrzegawczymi, bary serwujące mięsne kuleczki z renifera i knajpy, w których można oglądać mecze, sklepy monopolowe z Akvavitem, sklepy z towarami

importowanymi, sklepy z elektroniką, państwowe liceum z doskonałym programem zawodowym w zakresie geologii naftowej – całe to nowe miasto znajdowało się po drugiej stronie fiordu. Podziwialiśmy je, nie do końca wierząc w to, co się dzieje.

Obserwowaliśmy rozrastające się nowe miasto. Rozwój aglomeracji stanowił szansę dla handlu, szansę dla dzieci, które mogły się uczyć, szansę i zarazem przekleństwo, które miało zabrać młodych ludzi z tego miejsca. Po tym już nikt nie będzie wykonywał pracy, którą wykonywali jego rodzice, nikt nie będzie mieszkał w wiosce z dzieciństwa. Ale tak jest wszędzie. Obserwowaliśmy coraz liczniejsze tankowce i wielkie czerwono-niebieskie frachtowce na czarnym morzu, dniem i nocą, przez lornetkę mogliśmy rozróżnić na ich kadłubach napisy w cyrylicy lub chińskie znaki, nazwy, których nikt tutaj nie potrafił odczytać. Przypominało to inwazję z innej planety, zmienianie świata. Kontenerowce Maersk, załadowane barki jak budynki na wodzie, nieustannie przesuwwały swoje wielobarwne klocki lego wzdłuż krawędzi bielejącego horyzontu.

Ana obserwowała ich ruchy przez okno. Przyzwyczailiśmy się już do tego widoku, nowego rodzaju fal lub mgły, który stał się częścią krajobrazu. Poza tym to nie była inwazja, mówiła sobie, to przejściowe, tak jak technicy i inżynierowie pracujący w porcie, niezależnie od tego, czy byli Anglikami, Norwegami, Holendrami czy Francuzami. Przyjezdni w weekendy chodzili do barów, a ich dzieci przez kilka lat chodziły do miejscowej szkoły. Zaczynali jeść gofry cynamonowe i suszone ryby, a bardziej odważni nawet fermentowane ryby *rakfisk*. Zimą jeździli na nartach na lodowcu, a latem w każdą niedzielę chodzili po górach. Byli tutaj jednak tylko przejściowo. Jak nastolatki, które marzyły o wyjeździe do Oslo lub dalej,

do Sztokholmu, Hamburga, Londynu, jak za czasów Hanzy, jeśli nie do Moskwy, Szanghaju czy Singapuru. Najemnicy w branży naftowej, handlowej czy finansowej, to wszystko to samo. Oczywiście myśli o swoich dwóch synach.

Są jeszcze młodzi. Jørn ma dwanaście lat, a Noah siedemnaście. Są nastolatkami dorastającymi w nowym świecie i będą musieli sobie z nim poradzić. Dwa lata temu mała Szwedka, Greta Thunberg, dziewczynka z lekko zwężonymi, paciorkowatymi oczami i obcesowym spojrzeniem, poruszyła niebo i ziemię, spotkała się z głowami państw, rzuciła im wyzwanie na forum ONZ, stawiała im czoła – po co? Miała rację. Zostawiamy naszym dzieciom ten chory świat, gdzie będą zmuszone do walki o przetrwanie. Zostawiamy im także dług za stworzenie świata, który będą musiały spłacić, choć wiedzą, że nie uda im się go uregulować bez uszczerbku dla nich samych. Anå myśli o swoich dzieciach. Czego można życzyć dzieciom? – zastanawia się. Co jest najlepsze? Co to jest sukces?

Młoda Szwedka przez rok wygłaszała wykłady, a w tym czasie, w 2019 roku, letni lód morski cofnął się tak daleko, jak jeszcze nigdy w historii. W styczniu kolejnego roku na położonym dalej na południe polu naftowym Johan Sverdrup uruchomiono nową platformę: Ragnarök. W średniowiecznej mitologii nordyckiej i w podświadomości narodowej oznacza to koniec świata. Zresztą u wybrzeży miasta znajduje się niewiele lepsza platforma: Sigurd. I kto to wymyślił?

Anå wie, że nie jest wzorem do naśladowania. Nigdy nie wyjechała z miasteczka. Myślała nawet, że pobyt tutaj da jej trochę więcej władzy nad własnym życiem, ale wtedy właśnie wszystko zaczęło się wymykać spod kontroli. Małżeństwo się jej nie udało, a kończący je rozwód był jeszcze gorszy. Miejsące, lata walki z Franckiem, który do dziś przy każdej okazji

rzuca jej kłody pod nogi. Nie powinna była mu ufać, gdy miała dwadzieścia lat. Za szybko wyszła za męża, ale była w ciąży, a w jej rodzinie samotna matka była nie do zaakceptowania. Franck miał przynajmniej tę zaletę, że z nią był, choć tak naprawdę nigdy nie czuła się z nim szczęśliwa. To, że statek nie opuści portu, nie wystarczy, by nie zatonął. Jej życie nie było modelowe.

Widać to po zmarszczkach okalających oczy i opadających niczym deszcz na policzki, gdy się uśmiechała. Widać to po ustach pękających niczym topniejący lód, zanim się rozpułynie. Widać to po powiekach cięższych niż dawniej, które sprawiały, że jej oczy wyglądały, jakby miały się rozsytać.

Ana była ostatnia w rodzie, w którym prym zawsze wiodły kobiety. Nie przypominała specjalnie matki, raczej prababkę, a przynajmniej tak jej zawsze mówiono. Prababka była wysoką, szczupłą kobietą, może trochę wysuszoną, zawsze sztywną; miała zwyczaj siedzieć na brzegu krzesła, nie pozwalając oprzeć się plecom, co nadawało jej nieco surowy wygląd. Przekazała go córce, babce Any, którą Ana dobrze знаła i która była dla niej bardzo pobłażliwa, co jej własna córka często jej wypominała, twierdząc, że brakowało jej takiego kontaktu w dzieciństwie. Babcia pochodziła z innej epoki, z czasów, kiedy żyły wilki, a Północ była jeszcze krainą koczowników. Jej matka, która ją wychowała i której historię Ana często opowiadała, urodziła się mniej więcej w czasie, gdy Fridtjof Nansen rozpoczynał swoją pierwszą wyprawę wokół Grenlandii, w 1888 roku, a więc pod koniec XIX wieku, epoki, którą w pewnym sensie znała i którą Ana z tego powodu nadal nazywała „ostatnim stuleciem”. Prabacia Ellen, matka matki Any, miała oczywiście siwe włosy. Ana pamięta ją jako drobną kobietę, która chodziła zgarbiona, latem i zimą z dłońmi

zawiniętymi w rękawy swetra, z uniesioną głową, zadartym podbródkiem, ze zmrużonymi za okularami oczami i długim nosem jak sztandar łopoczący na wietrze – tak o niej mówiono we wsi.

Mężczyźni z rodziny, rybacy, którzy zostali później szefami firmy, mieli łodzie ochrzczone ich nazwiskiem, Olsen. Niektórzy mieli także w porcie magazyny na palach służące do suszenia, wędzenia i pakowania ryb wysyłanych do restauracji w Oslo i do centrów dystrybucyjnych norweskiej sieci luksusowych sklepów spożywczych, która sprzedawała je w całej Europie, zwłaszcza we Francji i w Polsce. O mężczyznach w rodzinie mówiło się rzadko. Nie byli widoczni, po prostu wykonywali swoją pracę. Starszy brat Any, Magnus, nie był wyjątkiem. Po studiach ekonomicznych w mieście wrócił, aby prowadzić rodzinną firmę. Anå miała oczywiście udziały w firmie, ona zajmowała się restauracjami i delikatesami, a on rybołówstwem i magazynami. Tak zdecydował ich ojciec i tak im obojgu pasowało. To Magnus był szefem, ale nie widziało się go częściej niż jego marynarzy. Ich matka zmarła młodo i Anå się nim opiekowała, poświęcała mu wiele czasu, podobnie jak później opiekowała się ojcem, gdy był już w podeszłym wieku, i babcią ze strony matki. Nie wyjechała, a teraz było już za późno, zresztą po co? Była jedyną kobietą, która pozostała. Ostatnia z rodu, z dwoma nastoletnimi synami, którzy dorastają, marząc o ucieczce i dalekich krajach. Żartują sobie z niej odrobinę, kiedy opowiada im o tradycjach wioski i tułających się ludziach, jak o niedźwiedziach na krze lodowej na skraju wyginiecia. Chłopcy uśmiechają się i gładzą ją dłońmi po włosach, zwłaszcza ten młodszy, który jest jeszcze na tyle mały, że można go przytulić, i powtarzają: „Zdecydowanie jesteś z ubiegłego wieku, mammo”. I to prawda.

Ana była młoda w ubiegłym wieku. W ubiegłym wieku była bez wątpienia najpiękniejszą kobietą w okolicy.

Kiedy Magnus zadzwonił dziś rano do drzwi, wyglądał na zakłopotanego. Ana nie wyszła jeszcze do pracy, a chłopcy właśnie złapali szkolny autobus, którym jeżdżą do liceum po drugiej stronie fiordu. Pogoda była piękna i miała się utrzymać aż do piątej po południu, kiedy słońce zacznie zachodzić, rozpalając horyzont. Rybacy wrócą za dwa lub trzy tygodnie z przedostatnich połowów z ładowniami pełnymi dorszy atlantyckich, których – jak twierdzili – w ostatnich latach było coraz więcej z powodu globalnego ocieplenia.

Pili kawę. Ana patrzyła na niego pytającym wzrokiem. Mógł poczekać, aż się spotkają później, w ciągu dnia.

– Noah wrócił. A może dotrze dopiero dziś po południu. Pora na przyjazd Bóg wie skąd. W każdym razie to jego przysłała firma. Wczoraj wcześniej rano albo w niedzielę nocą zdarzył się wypadek, a Noah przyjeżdża, aby rozwiązać problem. Czy wiedziałaś o tym?

– Nie.

Ana na kilka chwil skierowała wzrok na dno kubka po kawie, jakby próbowała odczytać plan dnia na najbliższe godziny albo tygodnie. Nie chciała okazać zaskoczenia ani wzruszenia. Czy rzeczywiście czuła się poruszona? Sama nie potrafiła powiedzieć.

Na dnie kubka były tylko wspomnienia.

W latach dziewięćdziesiątych grupa nastolatków z Północy założyła klub sponsorowany przez liceum, aby w oczekiwaniu na odwilż i wiek odpowiedzialności spotykać się i opowiadać sobie historie o smokach i stare legendy z regionu. To było w ubiegłym wieku, gdy legendy jeszcze żyły i było dość ciszy, by można je było opowiedzieć. Tworzyli coś w rodzaju

tajnego bractwa, którego niekwestionowanym przywódcą był Noah, „mistrz gry”. To właśnie on znalazł w sklepie w Oslo, gdzie spędzał wakacje, poradnik w języku angielskim. To on wciągnął ich w gry fabularne, w odgrywanie ról, zachęcił do RPG Magnusa, potem Anę, a także ich przyjaciół, Andersa i Knuta. Na dnie kubka był Noah, jej młodość i wiele innych rzeczy, ale teraz to już tylko wspomnienia.